

CZERWIEC

O pewnych sekretnych przypadkach zakochania,
randce–nierandce oraz akcji „M”



Truskawki tego roku były dziwnie niesłodkie. Pachniały wspaniale, wyglądały nęcąco. Na ryneczku pyszniły się w łubiankach duże i małe, jasne i ciemne, okrągłe i podłużne. Wielkie truskawkowe kulfony, od których łatwo odchodziły szypułki, albo drobniutki, które kojarzyły się Klarze z poziomkami. Jedne mocno wybarwione na czerwono, wręcz bordowo, inne wprost przeciwnie: ledwie pomarańczowe, choć podobno też dobre. Odmiana ananasówka, mówiła mama. Albo roksana. Albo marmolada – i kupowała na zmianę to te, to tamte, to jeszcze inne, żeby popróbować, które najlepsze.

Co z tego? To wszystko było nieważne w porównaniu z *newsem* dnia, każdego dnia już od trzech miesięcy: Klara Koziółek była nieszczęśliwie zakochana.

Jej wybranek miał na imię Konrad i od pięciu lat chodził z nią do jednej klasy. Jak to dziwnie się dzieje... Przez pięć lat jest się kolegą i koleżanką, widzi się nawzajem co dzień przez parę godzin na lekcjach i przerwach, na boisku, pod tablicą;

w różnych sytuacjach, wesołych, smutnych, nerwowych, fajnych i głupich – i nagle pewnego dnia, bez żadnego ostrzeżenia, ten zwykły dotąd kolega zmienia się w obiekt westchnień!

W przypadku Klary stało się to na wycieczce. Był pierwszy dzień wiosny. Pojechali całą klasą nad rzekę z wychowawczynią, panią Makowską, na topienie ekologicznej marzanny. Upletli ją ze słomy, a pani Makowska bardzo pilnowała, by do kukły nie dokładać żadnych szkodliwych dla środowiska materiałów. Klara nie pamiętała już, czy to sam rytuał topienia wydawał się wszystkim tak zabawny, czy po prostu ulegli ogólnoklasowej głupawce – w każdym razie śmiali się dużo i z byle czego – a wychowawczyni nie przeszkadzała im w tym, nie strofowała, tylko mówiła wyrozumiale: „Wyśmiejcie się, jeśli tego wam właśnie trzeba, śmiech to zdrowie!”.

Konrad strasznie się wtedy wygłupiał. Najpierw oświadczył, że do pradawnego obrzędu topienia marzanny należy bezwzględnie odśpiewać jakąś starosłowiańską pieśń – a jako że nikt z klasy podobnej pieśni nie znał, Konrad wziął na siebie jej wymyślenie i zaintonowanie. Potem wynalazł w szuwarach długi badyl i z jego pomocą udawał, że łowi ryby w rzece. Wreszcie, popchnięty usłużnie przez Kubę („Ryba! Patrz, ryba ci bierze!”), zamoczył sobie nogę. Wbrew przestrogom wychowawczyni – zdjął but i skarpetkę, zawiesił je na niedawnej wędce i tak paradował po nadrzecznej łące, nucąc dla odmiany już nie starosłowiańską pieśń, a skleconą naprędce „arię wędrowca bez buta”. Krótko mówiąc, był tak rozkoszny, dowcipny, zabawny – że zniemacka się Klarze spodobał. Zaczęła mu się przyglądać uważniej – i odnotowała, że ma przyjemny głos, gęste, fajnie ostrzyżone włosy, oliwkową cerę, zielone

oczy, a w nich figlarne, psotne ogniki. Zlustrowała go raz, drugi, trzeci – wreszcie utwierdziła się w swym przekonaniu: Konrad właściwie nie miał wad.

Pierwszy dzień wiosny.

Pierwszy dzień zakochania w Konradzie.

Klara poczuła tego dnia tak gwałtowny i wyraźny przypływ uczucia, uderzyło ją ono z taką mocą i tak intensywnie, że zaznaczyła sobie ten dzień w kalendarzu wiszącym nad biurkiem. Specjalny piktogram składał się z dużej litery „K” w koronie, otoczonej sercem. Jej tajny szyfr.

Okropny pech sprawił, że zakochanie działało tylko w jedną stronę. Smutna prawda była taka, że Konrad nie zwracał na Klarę najmniejszej uwagi.

Ech... Może to wcale nie truskawki tego roku były mało słodkie, tylko humor Klara miała jakiś cierpki?



– Hej! – usłyszała nad głową Klara. Kończyła właśnie wiązać trampka w kolorze brudnego różu. Wstała z kucek i cmoknęła Nulę w policzek.

– Hej! Fajne kolczyki!

– Prawda? – ucieszyła się Nula. – Pysia mi zrobiła. Z ciastoliny i koralików. Obawiam się tylko, że są jednorazowe.

Zachichotały obie.

Nula była najlepszą przyjaciółką Klary. Naprawdę nazywała się Julia Anna, mieszkała przy tej samej ulicy, przy której znajdowała się szkoła, i miała młodszą siostrę Pysię. To właśnie Pysia nieświadomie wymyśliła jej ksywkę na lata. Gdy uczyła się mówić, nie potrafiła tak od razu wypowiedzieć wyraźnie

imienia „Julia” ani nawet „Julka” czy „Jula”. A Julia bardzo nie mogła się tego doczekać! Ogromnie chciała mieć siostrę i wiązała z nią wielkie nadzieje – żeby je wcielić w życie, należało nawiązać możliwie bliski siostrzany kontakt. Cierpliwie pracowała więc nad tą bliskością. Najpierw nauczyła się brać Pysię na kolana, wkładać jej do rączki grzechotkę, a do buzi smoczek. Zauważała wszystkie postępy, które robiła mała – uśmiechy, chwytanie zabawek, siadanie... Najbardziej jednak czekała, aż Pysia zacznie chodzić i mówić – a już najmocniej jej zależało na tym, by usłyszeć wreszcie wypowiedziane przez Pysię własne imię. Gdy w końcu to nastąpiło, „Nula” spodobała się Julce do tego stopnia, że nakazała wszystkim tak się do siebie zwracać i w ten oto sposób została Nulą na dobre.

Nula zrzuciła z ramion plecak i postawiła go obok plecaka przyjaciółki. Ładnie się razem komponowały: jeden w drobny rzucik z kawałkami sushi na białym tle, drugi – błękitny, w alpaki i lamy o wielce zadowolonych minach.

– Wzięłaś farby? – spytała Nula.

– Wzięłam.

– Uff, to dobrze. Ja też wzięłam. W ostatniej chwili sprawdziłam na Librusie, że mamy dziś plastykę zamiast muzyki. Będziemy pewnie kończyć ten plakat ze straganem? Jak myślisz?

– Pewnie tak – westchnęła Klara. – Mój jest beznadziejny. Nie umiem rysować całej tej perspektywy... Skrzynki mi się rozjeżdżają, każda krawędź ucieka w inną stronę... Pan Długowos znów będzie niepokieszony, zresztą ja też.

– Wcale nie! – zaprzeczyła z werwą Nula. – Co z tego, że się rozjeżdżają? I tak są świetne, masz dryg do takich drobnych elemencików. Te twoje wszystkie brokułki, bakłażanki, śmieszne kartofelki, to jest bardzo ładne!

– Sama jesteś śmieszny kartofelek! – roześmiała się Klara i zerknęła na zegarek. – No dobra, chodźmy już na górę – po-nagliła przyjaciółkę.

– Już, już! – Nula błyskawicznie zmieniła sandały na tenisówki, zatrzasnęła swoją szafkę i schowała klucz do plecaka. – Gotowe!

Do końca roku szkolnego zostały dwa tygodnie. Stopnie mieli już wystawione, rada pedagogiczna się odbyła i w szkole panowało miłe rozprężenie. Wbrew obawom nauczycieli, jak zwykle z każdego z przedmiotów zdążyli z całym programem, frekwencja i oceny z zachowania wcale nie były tak fatalne, jak grozili, słowem – Klara, Nula i reszta V a kończyły rok z przepisową porcją przekazanej wiedzy. Lekcje odbywały się jak dotąd – nauczyciele prowadzili je jednak w nieco zmodyfikowany sposób. Nikt już nikogo nie odpytywał, nie zadawano też prac domowych. Było luźniej... i ciekawiej! Na geografii oglądali slajdy z najpiękniejszymi miejscami w Polsce i na świecie. Na biologii wyszli na dwór i powtarzali sobie nazwy dostrzeżonych w okolicy szkoły drzew, krzewów i kwiatów (a bardziej ambitni uczniowie mogli się wypowiedzieć szerzej na temat ich rozmnażania czy przynależności gatunkowej). Na angielskim odgrywali scenki, które mogły się przydać na wakacjach za granicą.

Klara była dobra z angielskiego. Właściwie umiała się odnaleźć we wszystkich sytuacjach z minirozmówkami, które wymyślała ich anglistka, pani Kawczyńska. Każdy z V a chętnie przyjąłby Klarę do swojej grupy. Niestety, przydział do grup odbywał się według kolejności w dzienniku: numery 1–5 tworzyły grupę pierwszą, 6–10 – drugą i tak dalej. Klara znalazła się w grupie z Martą, Karolem, Jaśkiem i Piotrkim.

– W ramach międzynarodowej wymiany uczniów gościsz u siebie kolegę ze Szkocji – Marta wzięła na siebie odczytanie ich grupie kartki z instrukcjami. – Orowadź go po swoim domu, pokaż pokój, w którym przygotowaliście z rodzicami miejsce dla niego, opowiedz, gdzie w domu znajdują się rzeczy, których – być może – będzie potrzebował. W następnej scenie zaproponuj mu ciekawą wycieczkę po swoim mieście.

W trzeciej scenie Johna miał boleć brzuch i należało mu jakoś pomóc.

– Dobra, to kto będzie Johnem? – Klara zwróciła się do chłopaków.

– Scenki są trzy, więc może zmianowo, nie? – podsunął Jasiek.

– Okej – przystała na to Marta. – Czyli tobie pokazujemy dom, Piotrka oprowadzamy po mieście, a Karola boli brzuch – wytypowała. Marta była w tym roku przewodniczącą ich klasy, dyrygowanie i wyznaczanie zadań miała więc we krwi.

– Ej, czemu akurat mnie ma boleć? – zaproponował Karol. – Ja bym wolał iść na wycieczkę...

– Człowieku, na jaką wycieczkę? To jest gra wyobraźni! – syknęła Marta.

– Przecież wiem! To był żart, jakbyś się nie zorientowała! – uśmiechnął się szelmowsko.

Marta przewróciła oczami. Karol niewątpliwie miał wiele zalet. Poważny jak na swój wiek, dobrze wychowany i inteligentny. Pod wieloma względami był miłym chłopcem, jednak żartowanie należało chyba do jednej z jego słabszych stron.

– Dobra, która z nas oprowadza Johna po domu, ja czy ty? – zwróciła się do Klary.

– Mogę ja – zgłosiła się Klara.

– Super. To wy konwersujcie, natomiast nasza pozostała trójka będzie wam przyznawała punkty.

– A w jakich kategoriach? – chciał wiedzieć Jasiek.

– No jak to w jakich? – zdziwiła się Marta. – Za poprawność chyba...? Za gramatykę, akcent, wymowę... Za co innego punktuje się na lekcji języka obcego?

– Za komunikatywność! – wykrzyknął triumfalnie Jasiek. – Wszystko to, o czym mówisz, jest funta kłaków warte, może być, że nawet brytyjskiego funta... – Puścił oko do Piotrka. – Najważniejsze jest dogadanie się! Co z tego, jeśli niepoprawnie?

– To z tego, że robisz z siebie imbecyla – broniła swojego zdania Marta.

Jasiek pokręcił głową, nieprzekonany.

– Tere-ferre. Mogę sobie z łatwością wyobrazić ciebie, jak stoisz zmrożona przed gościem i układasz w głowie, którego użyć czasu i trybu, nie możesz się zdecydować, bo nie jesteś pewna, i w końcu nie mówisz nic. A on, biedny, niczego się nie dowiaduje o swym nowym domu!

Piotrek zawył tęsknie, niczym porzucony psiak.

– A tobie co odbija? – Marta posłała mu groźne spojrzenie.

– Pokazuję, jak mu jest smutno.

– Komu, do licha? – zirytowała się Marta.

– No, temu Johnny'emu, który się niczego nie dowiaduje o swym nowym domu. Ilustruję muzycznie waszą kłótnię – zachichotał, a Jasiek mu zawtórował.

– Piotrek robi podcasty – orzekł.

– Natychmiast przestańcie! – zażądała Marta. – Niech będzie, że Jasiek ma rację z tą komunikatywnością, ale nie do końca. Forma też jest ważna, nie tylko treść! Nie chcę, żebyś-

cie za granicą robili Polsce obciach, bo nie umiecie sklecić poprawnie jednego prostego zdania! – zaperzyła się. – To mnie strasznie wkurza, taka bylejakość i usprawiedliwianie się, że to jest nieważne. Polskie litery w esemesach są nieważne, kultura jest nieważna, poprawność językowa nikomu niepotrzebna... Nie zgadzam się na to! – tupnęła nogą pod ławką.

– Marta ma rację – poparł ją Karol. – Nie można sobie za łatwo odpuszczać, bo do niczego nie dojdziemy. A jeden taki kretyń za granicą psuje opinię nam wszystkim. Ja też sobie nie życzę, żeby on mi psuł.

– Ale to może być tak sympatyczny kretyń, że i tak wywrze na Angolu przyjemne wrażenie! – uśmiechnął się niewinnie Piotrek. – A już zwłaszcza na Angolce! – zatrzepotał rękami.

– Wiadomka! – poparł go Jasiek i huknął po przyjacielsku w ramię.

– Kochani, czy wy już pracujecie nad swoją scenką? – Pani Kawczyńska niepostrzeżenie stanęła nad ich połączonymi ławkami.

– Wyłącznie, proszę pani! – oświadczył żarliwie Jasiek. – Trwa właśnie twórcza debata nad sposobami oceny scenki.

– Sugeruję mniej teorii, więcej praktyki, Jaśku – poradziła pani.

Jasiek wyrzucił w górę dłoń zaciśniętą w triumfalnym geście.

– Haa!!! Praktyka!!! Widzisz, Martusiu? Prak-ty-ka! Robimy tak: Marta ocenia gramatykę, Karol akcent, a Piotrek komunikatywność. Debatę uznaję za zamkniętą! Klaro – zwrócił się do niej z kurtuazją – czy zechcesz oprowadzić mnie po swoim domu?



Klara pożegnała się z Nulą na rogu ulicy i skręciła w stronę przystanku. Zawsze po szkole stawały tam jeszcze na pogaduszki. Mama Klary żartowała, że są jak te kobiety ze starego dowcipu – które przesiedziały ze sobą dziesięć lat w więzieniu w jednej celi, a po wyjściu na wolność długo stały jeszcze pod więzienną bramą, paplając jak najęte.

Cóż – właśnie tak to z przyjaciółkami jest. Nagadania nigdy dość!

Klara spojrzała na zegarek. Do przyjazdu autobusu miała jeszcze prawie kwadrans. Fajne są te ostatnie dni szkoły. Luz, do tego ładna pogoda. Na wuefie wyszli na dwór i grali w badmintona albo w piłkę, w co kto chciał. Żadnego stresu, żadnego oceniania. Ciekawe, czy szkoła nie mogłaby funkcjonować na co dzień w ten sposób... Naprawdę nic by nie robili sami z siebie, gdyby nie groziła im pała?

– Klaro... – usłyszała za sobą znieca.

Odwrociła się. Karol dogonił ją i zrównał z nią krok.

– Fajnie dziś było na angielskim, nie?

– Fajnie – przyznała. – Choć Piotrek trochę się wydurniał.

– No tak. Statystycznie w każdej grupie trafia się jeden pajac. Przynajmniej jeden. Pomyśl o grupie trzeciej, oni musieli wytrzymać i z Kubą, i z Konradem.

Klara w milczeniu przełknęła urazę za ukochanego. Karol, czymś pochłonięty, nawet tego nie zauważył.

– Słuchaj... – odezwał się znowu. – Masz może teraz trochę czasu? To znaczy... Czy musisz iść prosto do domu, czy moglibyśmy na przykład pójść na lody?